WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 18. Kraków, dnia 11. listopada. 1900.

Proces Hilsnera w Pisku.



Konfrontacya Peszaka z Hilsnerem.

Hilsner: Jak możesz pan mówić żeś mnie widział 29. marca? Chcąc mnie poznać na 800 kroków musiałbyś mieć „rybie oczy!“

Peszak: Każdy, kto ma takie oczy jak ja, byłby cię poznał!

Sienkiewicz i Chopin w Paryżu.

Przykrą jest rzeczą dla narodu z przeszłością sławną i piękną, gdy traci nietylko swój byt polityczny, ale zanika powoli w pamięci innych narodów. O nas w świecie bardzo cicho, za cicho — wyszliśmy z mody. Nawet nad Sekwaną, gdzie przedtem z takim entuzjazmem i patosem deklamowano „o Francuzach północy“, skąd przez sto lat oczekiwaliśmy zawsze w swojej naiwności wydatnej pomocy, nawet tam wobec zmienionej konstelacyi politycznej zamilkły głosy o Polsce, a oczy wszystkich kokieteryjnie spoglądają w stronę Wołgi i Newy. Niewieleby brakło, a mówionoby o nas jak o wilku żelaznym...

W tym roku staliśmy się znowu głośni, w salonach i w świecie literacko-artystycznym, na bulwarach i na prowincyi, wszędzie gdzie dotarło imię Sienkiewicza, a dotarło już do wszystkich warstw francuskiego społeczeństwa.

Sienkiewicz w całej Francyi jest bohaterem chwili. „Quo vadis“ dobiega obecnie setnego wydania. Takie powodzenie we Francyi należy do rzadkości. Od ostatniej powieści Zoli i sztuki Rostanda „Cyrano de Bergerac“ żaden utwór nie doszedł i w połowie tylu wydań. Krytyka francuska przyjęła powieść z wielkiem uznaniem. Drummont napisał o niej entuzjastyczny artykuł w „Libre Parole“, w „Patrie“ wypowiedział Józef Renaud sąd bardzo charakterystyczny, mogący być uważanym za wyraz myśli większości czytelników francuskich. Podnosi on sienkiewiczowską umiejętność zainteresowania i podkreśla mistrzostwo charakterystyki Petroniusza.

Od pierwszej do ostatniej strony, powiada krytyk, książka ta zachwyca i przykuwa, zainteresowuje bądź dzięki dramatyczności epizodów bądź dzięki intensywnemu życiu opisów (bankiet Nerona, igrzyska cyrkowe w nocy, śmierć Petroniusza), bądź wreszcie wskutek różnorodności djalogu. Chociaż Renaud czyni pewne zastrzeżenia, to jednak uważa, że w „Quo vadis“ „odsłania się niezmierny talent“, a literatura polska „staje dziś przed światem lśniąca światłem“.

W każdym razie dziś już Sienkiewicz stał się pisarzem, którego nazwisko jest na ustach wszystkich znawców literatury. „Pan Wołodyjowski“ drukuje się obecnie w przekładzie pani Laurent w „Grande Revue“, „Ogniem i mieczem“ w dzienniku „Matin“, „Na marne“ w „Echo de Paris“; „Temps“ daje tłomaczenie „Rodziny Połanieckich“, „Gaulois“ podaje nowele Sienkiewicza. „Krzyżaków“ wydaje obecnie księgarz Pere Lamm; „Bez dogmatu“ doczekało się już ósmego wydania.

Dość długo czekał Sienkiewicz na uznanie we Francyi; przyszło późno, ale buchnęło takim potężnym i wspaniałym płomieniem, że uczyniło odrazu imię wielkiego pisarza powszechnie uwielbianem. I dodać należy, powodzenie to jest zupełnie inne niż np. był rozgłos Ibsena lub Tołstoja. Tamci zyskali sukces w sferach literackich i bardziej intelektualnych; mimo ogromnej reklamy do szerszych warstw nie dotarli nigdy. Sienkiewicz, przeciwnie, stał się popularnym i znanym nie tylko w Paryżu, ale w całej Fracji.

Jedna tylko jest rzecz ujemna w całej sienkiewiczomanii. Oto wszyscy tłómacze i wydawcy, zachęceni powodzeniem „Quo vadis“ rzucili się do wydawania i innych dzieł Sienkiewicza w przekładach, robionych najczęściej nie z oryginału, lecz z angielskich i włoskich tłómaczeń, które same pozostawiają już dużo do życzenia. Dlatego też przyklasnąć tylko należy projektowi Polaka Kozakiewicza, kustosza „Muzeum socyalnego“ w Paryżu, który w porozumieniu z Sienkiewiczem zamierza skoncentrować w swoich rękach, jeżeli nie wszystkie przekłady, to przynajmniej kontrolę nad nimi. Osobistość tłómacza „Quo vadis“ pozwala rokować, że z podjętego zadania wywiąże się należycie.

Przekład „Quo vadis“ uznany został przez całą krytykę francuską za wzorowy, jest więc uzasadniona nadzieja, że i inne dzieła nie wyjdą gorzej w tłómaczeniu. W tece p. Kozakiewicza znajduje się już gotowe tłómaczenie „Ogniem i mieczem“.

Prócz dzieł Sienkiewicza zamierza nasz zacny rodak przełożyć niektóre powieści Prusa, Żeromskiego, Sieroszewskiego, Tetmajera, Rodziewiczówny i innych. Usłuchawszy rady Rostanda i Sardou, którzy uznali „Quo vadis“ za doskonały temat do dramatu, zabrał się p. K. pospołu z Coquelinem i Emilem Moreau do przeróbki scenicznej utworu. Dramat ten wystawiony będzie na scenie teatru Porte Saint-Martin, a wskazówek do dekoracyi i kostyumów obiecał udzielić znakomity znawca i malarz świata starożytnego, Tadema. Prócz tego Henryk Cain pisze na tle „Quo vadis“ libretto do opery, którą skomponować ma jeden z najwybitniejszych kompozytorów francuskich.

Rozgłos Sienkiewicza jest zaiste dla nas pocieszającym objawem. Zajęcie, jakie obudziło arcydzieło Sienkiewicza, sprowadza cały szereg rezultatów, mających dla nas głębsze znaczenie. Literatura polska zeszła we Francyi na plan ostatni. Zapomniano już o epoce, kiedy Lammenais naśladując Mickiewicza pisał biblijnym stylem swoje „Paroles d' un croyant“, kiedy w „Revue des deux mondes“ drukowano „Nieboską“ i studyum George Sand o „Dziadach“, — wszystek ten zapał minął, ale dzięki Sienkiewiczowi zaczyna na nowo powracać, a dzięki Prusowi, Tetmajerowi, Konopnickiej zapewne głębsze zapuści korzenie.

Że zainteresowanie się we Francyi naszą literaturą nie pozostanie także bez wpływu na polu społecznem i politycznem, to także chyba nie ulega wątpliwości...

Drugie wspomnienie Polski! Wśród zieleni i krzewów wspaniałego ogrodu luksenburskiego w nowożytnych Atenach widnieje pomnik największego naszego muzyka, Fryderyka Chopina. W najpiękniejszej ustroni Paryża, zaklęty na wieki w marmurze, wznosi się biust arcymistrza tonów; od tej postaci tak podniosłej jak cichy szept modlitwy, krynicznie czystej i ewangelicznie dobrej płynie przez bezmiar przestrzeni echo nokturnów; dusze uczestników uroczystości odsłonięcia biustu, osnuwa cichy, czarny smutek. Obcy, a przecież bezbrzeżna melancholia obejmuje ich serca w posiadanie, razem z piewcą smętku nie czują nic, prócz dławiącego bólu niemocy i żalu za niedościgłym ideałem szczęścia...

Wiatr jesieni, szmer rdzawych liści, opadłych z drzew zdają się wtórować akordom smutku. Na myśl przychodzą wspomnienia chwil ciężkich, stają przed duszą godziny żałoby, obrazy przeszłości, czarnym kirem pokryte, fala uczuć wezbranych wylewa się kaskadą żalu, serdeczne łkanie rozrywa piersi: to „marsz żałobny...“ Skarżą się, zawodząc nad niedolą ludzką, ponury dzwon jęczy miarowo, jednostajnie, wiecznie.

Powoli echo tonów żałosnych przycicha, słychać rzewne i tęskne preludium. Myśl niknie w nieprzeniknioną dal, przez morza chmur ku słońcu, ku niebiańskim sferom, skąd spływa ku nam kojąca rany postać Chrystusa...

Echa płyną z powietrznej dali, przynosząc dźwięki nowe, weselsze, mniej uroczyste, więcej ludzkie. Szumi w nich las świerków i jodeł naszych, rozlewa się żywiczna woń macierzanki i kwiatów polnych, raz odzywa się fujarka pastusza, to znów kobza i teorban, to znów niby pobudka, grzmiąca do apelu na pohańców... To mazurki czarują z oddali... A mistrz śpi na wieki pod mogieną darnią na Pére-Lachaise, imię jednak jego wyryte w głębi wszystkich czujących serc, czar jego tonów dokonał podboju świata.

I oto obcy obcemu wznoszą z swych groszów okazały pomnik, z wzruszeniem i czcią oczekują chwili, kiedy spadnie zasłona i na tle smętnych, jesiennym wichrem pochylonych drzew ukaże się postać mistrza, syna nieszczęsnej ojczyzny...

Długo oczekiwane odsłonięcie pomnika Chopina odbyło się dnia 17 października, jako w rocznicę śmierci twórcy nokturnów, w ogrodzie luksemburskim. Imieniem komitetu przemawiał p. Peru, były uczeń Chopina, w imieniu polskiego koła literacko-artystycznego p. Godebski, wreszcie panowie Pławiszewski i Wieniawski, pierwszy imieniem stowarzyszenia byłych uczniów szkoły batignolskiej, drugi imieniem Towarzystwa muzycznego w Warszawie.

Komitet, do którego składu należeli między innymi Massenet, Armand Silvestre, Leza, Mathias, miał do walczenia z dużemi trudnościami. Wahano się między projektami dwóch rzeźbiarzy; pp. Froment-Meurice i Jerzego Dubois. Ten ostatni zwyciężył. Niezadowolony z tego obrotu rzeczy p. Froment-Meurice, którego brat zasiada w paryskiej radzie miejskiej, rozpoczął w dziennikach nieprzyjemną polemikę, której skutkiem było odebranie wyznaczonego pierwotnie miejsca w parku Monceau. Niezrażony tem komitet, przy protekcyi Senatu, otrzymał plac w ogrodzie luksemburskim.

Inną trudność powodował brak odpowiednich środków. P. Peru skarżył się, że przedstawiciele kolonii polskiej w Paryżu, z wyjątkiem śp. hrabiny Działyńskiej, nie chcieli mu przyjść z pomocą. Zwracał się on do kilku wybitniejszych osób z prośbą o wzięcie udziału w pracach komitetu i w zbieraniu składek. Wszędzie spotkał się z cierpką odmową. Jeden z muzyków polskich w Paryżu twierdził podobno, że Polacy dlatego trzymali się zdala, że napis na pomniku nie wspomina o narodowości Chopina. Dodajmy, że napis nie głosi również, by Chopin był Francuzem.

Na kamiennej steli, zdobnej we wdzięczną postać niewieścią, stoi bronzowy biust średnich rozmiarów. Odtwarzając biust Chopina, p. Dubois trzymał się portretu Chopina, wykonywanego przez Delacroix, a znajdującego się w zazdrosnem posiadaniu p. Marmontelia. Mówię „zazdrosnem“, bo p M. niechętnie pokazuje ów portret i nie pozwala zdjąć z niego fotografii. Twarz wielkiego kompozytora „mazurków“, różni się na pomniku wyraźnie od tych rysów, do których przywykliśmy z innych rysunków i sztychów. Pojęta jest bardzo realnie i mało znać w niej udochowienia, które tłómaczyłoby geniusz Chopina.

Interesującą osobistością jest autor pomnika p. Dubois. Jest to młody jeszcze człowiek, dotychczasowa jego karyera obfituje w niezwykłe koleje. Zamiłowanie do fidjaszowej sztuki zniewoliło go do opuszczenia lady sklepowej, za którą sprzedawał jedwabne tkaniny; żeby zapoznać się z „rzemiosłem“, gdy innych środków brakło, został modelem. Pozował całymi dniami w pracowniach rzeźbiarzy, — wieczorami rysował. Burza życiowa pchnęła go na jakiś czas aż do... areny cyrkowej. Wtedy w dzień rysował lub lepił z gliny

---

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

Szeroki ogół znał tylko zupełnie powierzchownie niektóre objawy zewnętrzne zdarzeń, które nastąpiły po opisanych przez nas wypadkach kilka instytucyj finansowych zachwianych defraudacyami i runem, kilku ludzi otoczonych powszechną czcią strąconych ze społecznych wyżyn do cel więziennych, kilka samobójstw sensacyjnych, jedna tajemnicza śmierć w więzieniu, mnóstwo bankructw: — wszystko to były jedynie owe bańki, wydobywające się na wierzch z głębiny, której treść znana była jedynie wtajemniczonym...

Domyślano się tylko, że ta wielka katastrofa społeczna, która nas dotknęła, nie wywiązała się sama przez się z niczego; przeczuwano, że musiały w tem być czynne ręce jakichś psubratów, które pchały wszystko ku zgubie i hańbie; słyszano tylko tu i ówdzie śmiech piekielny, tryumfujący nad naszym upadkiem, naszą klęską i naszym sromem.

IV.

Ciemnobłękitny blask morza oślepiał oczy pasażerów pociągu, który wił się po skalistem wybrzeżu. Niebo było bez chmur; wzrok mógł się nurzać w nieskończoność. O brzeg odbijały się nieustannie szemrzące fale, podmywały stopy łańcucha wzgórz, zaostrzały swoje grzbiety, cisnęły się na siebie, pożerały nawzajem, rozlewały białymi potokami piany i perłowemi kaskadami rozpryskiwały się o rozdarte piersi skał. Słoneczna radość rozlewała się po całym widnokręgu...

Pociąg wjechał nagle w tunel. Koła poczęły huczeć z przeraźliwym łoskotem, a w wagonie restauracyjnym zapanowała ciemność. Zanim kelner zoryentował się i rozświetlił elektryczne lampki, nie można było rozpoznać rysów najbliższych sąsiadów. Wreszcie jakby dla kontrastu z poprzednim oceanem błękitu i światła zamigotały mdłe, drżące, żółtawe druciki. Przy małych stoliczkach siedzieli mężczyźni w angielskich czapeczkach podróżnych w kolorowe paski i panie w słomkowych kapeluszach.

Między podróżnymi wyróżniało się towarzystwo złożone z dwóch kobiet i jednego starszego już jegomościa, który wyglądał na ich ojca. Czwarte miejsce przy ich stoliku zajmował młody człowiek skromnie ubrany, który jadł śniadanie w milczeniu. Tunel był długi, więc śniadanie trwało bez przerwy. Służący podając wielką miskę z zimnem mięsem i salaterkę z sałatą zmylił porządek i zbliżył się naprzód do młodzieńca, który już rękę po potrawę wyciągał. Spostrzegłszy pomyłkę służący, cofnął się skwapliwie i uprzejmie przeprosił po francusku siedzącego obok starszego towarzysza podróży.

W tej samej chwili pociąg wynurzył się z tunelu i od strony morza padło tak jaskrawe światło na pociąg, który tuż nad jego brzegiem w szalonym tempie pędził wprost przed siebie, że wszyscy podróżni mimowoli odwrócili głowy w drugą stronę i przymknęli powieki. Po chwili jedli dalej w milczeniu.

Przerwał je wreszcie młody człowiek, rumieniąc się zlekka.

— Przepraszam — rzekł do starszego mężczyzny. — W rozmowie przed chwilą kilkakrotnie wspominali państwo o Monte Carlo... Czy pan zna Monaco?

Starszy jegomość uśmiechnął się, jak gdyby postawione pytanie wydało mu się nieco dziwne. O każdą miejscowość można by pytać swobodnie bez myśli ubocznych, ale mimowoli każda wzmianka o Monaco zawierała w sobie coś z nieprzynoszącego zaszczytu podejrzenia. Pytanie: „Czy znasz pan Monaco?“ równało się pytaniu: „Czy jesteś pan graczem?“ Pytanie takie musiało wprawiać w kłopot i wymagać odpowiedzi, że jeśli się zna Monaco, to jednak dom gry zwiedzało się tylko przez ciekawość.

— Monaco? — odpowiedział też wymijająco starszy jegomość, podczas gdy obie damy zwróciły pytające spojrzenia na młodego człowieka. — A o co panu idzie w szczególności?

— Chciałbym wiedzieć — odpowiedział młodzieniec rumieniąc się jeszcze bardziej — adres jakiegokolwiek dobrego hotelu. Myślałem, że jeśli pan zna Monte-Carlo, będę mógł otrzymać jakąkolwiek dokładniejszą wskazówkę, niż te, jaką znajduję w Baedekerze, gdzie gwiazdka oznacza mi tylko w którym hotelu można mieć pokój z całem utrzymaniem, a z którem bez...

— Wszystkie hotele w Monte-Carlo są bardzo dobre... Czy życzysz pan sobie wyjaśnienia co do cen?

Młodzieniec nie dał żadnej wyraźnej odpowiedzi, starszy jegomość więc, ciągle z dobrotliwym uśmiechem na pogodnej, wesołej twarzy, udzielał dalszych objaśnień.

— Wszystkie hotele w Monte-Carlo są wprawdzie równie dobre, ale także równie drogie. Jeśli się pan nie zamierza dłużej zatrzymać, radzę panu Hotel de Paris obok Kasyna, należący do Banku. Jeśli pan chcesz mieszkać taniej, musisz się pan udać do La Condamine. W Monaco samem nie ma żadnego hotelu.

Pociąg wjechał nagle znów w tunel i rozmowa zamilkła. Przejazd przez skałę trwał tym razem krótko. Młodzieniec zauważył, że nie chce jechać do La Condamine, tylko do samego Monaco.

Młodsza z kobiet, ciemna brunetka o jasno-niebieskich oczach, o karminowych, nieco wydętych, jakby do pocałunku ustach zawołała żywo.

— Zdaje mi się, że pan nie dobrze zdaje sobie sprawę z położenia i nazwisk miejscowości, do których pan zdąża.

— Ja panu wytłomaczę — dorzucił starszy mężczyzna, wydobywając z kieszeni od kamizelki złoty ołówek i kreśląc w notatce kilkoma linjami plan sytuacyi. To wspaniałe gniazdo grzechu, do którego jak się zdaje wspólnie jedziemy, rozdziela się na trzy części: tu oto na skałach jest właściwe Monaco z zamkiem panującego księcia. Dalej w środku, najniżej położona, rozciągająca się ku portowi La Condamine, wreszcie znowu o wysokim łuku wspinające się ku górze: Monte-Carlo. O patrz pan, mniej więcej: w tem miejscu leży Kasyno... „nervus rerum“ całego księstwa, oświecające wszystko dokoła słońce, światło i życie, utrzymujące sobą i Monaco i La Condamine i Monte-Carlo; środowisko bogactwa, dobrobytu, ruchu, rozkoszy świata... Nazwę nosi tak mdłą, tak niewinną, tak dystyngowaną: „Cercles des étrangers“... Widok stamtąd prosto na morze; kolei jednak z okien Kasyna nie widać. Wdziera się ona właśnie głęboko pod skały, na których wznosi się Bank. Tutaj gdzie znaczę małym kwadratem, stoi widzialny z Kasyna poprzez aleje palmowe, „Crédit Lyomais“. Zresztą tu już jest Francya. Całe księstwo można wszerz przebyć w przeciągu pięciu minut. Na samej granicy, nad morzem stoi właśnie ten dom gry w którym się topi piękne gorzko zapracowane złoto z całego świata, skropione potem i łzami miljardów, złoto podnoszone poza granicami księstwa w „Crédit Lyomais“... Wszak to jest praktycznie urządzone?

małe figurki, a wieczorami wywracał kozły w jaskrawym stroju clown'a. Zwróciwszy na siebie wreszcie uwagę kilku wybitniejszych artystów, mógł poświęcić się wyłącznie sztuce. Ciężkie przejścia uczyniły go jednak nazbyt nerwowym i wrażliwym. Gdy raz w „Salonie“ dla jego „gipsu“ wyznaczono miejsce w szarym kącie, niezadowolony artysta przybył na wystawę w dniu otwarcia z młotkiem w ręku i potrzaskał swe dzieło w drobne kawałki. W sferach artystycznych paryskich postępek p. Dubois wywołał ogromne wrażenie. Od tego czasu młody rzeźbiarz nie bierze udziału w żadnych wystawach.

K.

nicę między zwierzęciem a człowiekiem, wnika w wiarę tego ostatniego i w ten sposób wytwarza w nim nieśmiertelność, której właściwie niema. Sądząc z tego rozum jest jedynym czynnikiem możliwym rozkoszy. Jeżeli nie widzimy i nie słyszymy około siebie rozumu, jesteśmy pozbawieni użycia. Co prawda, mamy książki, ale to nie to, co ustna pogadanka i uczestnictwo w niej. Jeżeli mogę zrobić nieudane porównanie, książki są — nuty, a rozmowa inteligentna — śpiew.

— W zupełności prawda.

I znów milczenie. Z kuchni przychodzi Daryuszka i zatrzymawszy się we drzwiach, podpiera brodę i z jakimś głupim zdziwieniem na twarzy, słucha.

— A wy nie wierzycie w nieśmiertelność duszy? — nagle pyta pocztmistrz.

— Nie, szanowny Michale Awierjanyczu, nie wierzę i nie mam danych do wierzenia.

— Przyznam się, że i jak tak bardzo głęboko nie wierzę, a chociaż mam wrażenie, że wiecznie żyć będę, to jednak myślę sobie, jak śmierć krzyknie „czas“, to może i umrę.

O dziesiątej Michał Awierjanicz odchodzi, i kładąc w przedpokoju płaszcz, wzdychając mówi: — Jednakowoż w jaki zacofany kraj zagnało nas życie, a najgorsze to, że tu i umierać przyjdzie. Ech!

Tłom. Bronisława Jeremi.

Wojna lub rozbrojenie — konieczność socyalna.

(Dokończenie.)

Niejednemu wszystko to, co powiedzieliśmy dotąd, może wydać się przesadą, ale każdy przestanie wątpić o prawdziwości naszych twierdzeń, skoro tylko nieco uwagi poświęcić zechce niezwykłym zbrojeniom się obecnego zbrojnego spokoju, który powoli podkopać w końcu musi ogólny dobrobyt i sprowadzić ruinę całych narodów. W roku 1898 wydatki na armię i marynarkę w Niemczech, Austryi, Francyi, Rosyi i Anglii wynosiły razem przeszło 50.000,000 marek, utrzymanie samego wojska lądowego w Niemczech i Francyi kosztuje rocznie więcej jak miliard marek, a na cele oświaty czyż wydaje się takie sumy?...

Moltke przy pewnej sposobności wypowiedział wielkiego znaczenia słowa: „Musi w końcu przyjść do tego, że narody Europy nie będą w końcu w stanie ponosić tych olbrzymich kosztów dalszych zbrojeń... ciężar wojny usunie wojnę samą“. Że już się zbliża urzeczywistnienie się owego zdania, widzimy to z olbrzymich długów państw europejskich, od których same procenta wynoszą miliony, i z tej ogólnej nędzy klas pracujących.

A cóż dopiero czeka narody na wypadek wojny? Wojna między trój- i dwuprzymierzem kosztowałaby dziennie 84 miliony marek. Zapasy kasowe i skarby złożone na przypadek wojny zniknęłaby zupełnie zaraz w pierwszym dniu mobilizacyi. Jeden rok wojny przyniósłby narodom straty więcej jak 40 miliardów.

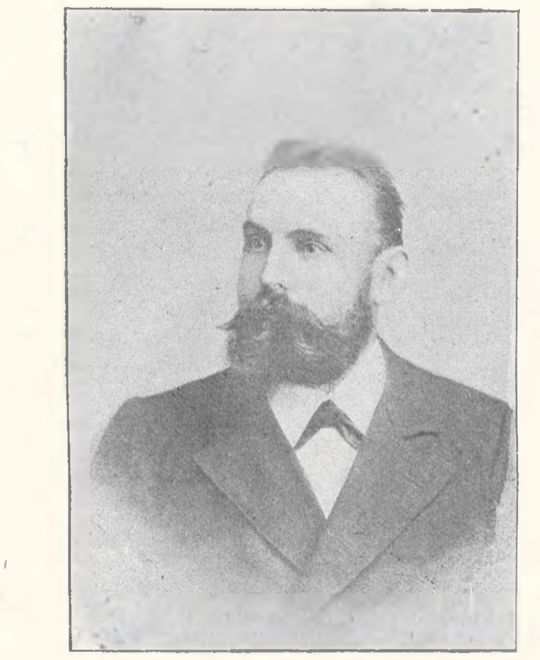
Powszechne zbrojenie się państw pochłania rok rocznie coraz to większe sumy, ono to hamuje rozwój prawdziwej oświaty i dobrobytu, jest powodem coraz to większego zadłużania się mocarstw w bankach żydowskich, czego owocem jest właśnie rozpanoszenie się żydów w Europie i coraz to większy wpływ ich na politykę państwową, wychowawczą, religijną etc... Czegóż więc narody spodziewać się mają w razie wybuchu wojny? chyba niczego innego jak głodu, epidemii, nędzy powszechnej, rewolucyi socyalnej, i wszechwładztwa żydów.

Dlatego też uczucie ludzkości jakoteż i rozum wymagają, aby spory między narodami i państwami rozstrzygał międzynarodowy sąd rozjemczy. Cesarz Franciszek Józef wypowiedział swoje przekonanie w tym względzie wobec pewnego dyplomaty w tych mniej więcej słowach: „Kto dzisiaj może życzyć sobie wojny? Nikt! Nie ma chyba nikogo, ktoby mógł żywić w sobie to straszne i zgubne w skutkach życzenie — przynajmniej takie moje zdanie. Twierdzono, że wojny przeszłości były rezultatem ruchu ludowego, — że narody zmuszały do wojny swoje rządy i monarchów; ale tego rodzaju twierdzenie sprzeciwia się faktom rzeczywistym. Bo cóż mogłoby skłonić jakiś naród, by życzył sobie wojny? takie życzenie nie wylęgło się nigdy w sercu żadnego narodu. Wojna wybucha zawsze wskutek jakichś nieszczęsnych okoliczności, choćby nawet nikt nie miał zamiaru jej wywołania; wojna jest zawsze nieszczęśliwym wypadkiem, którego przyczyną jest niedo-

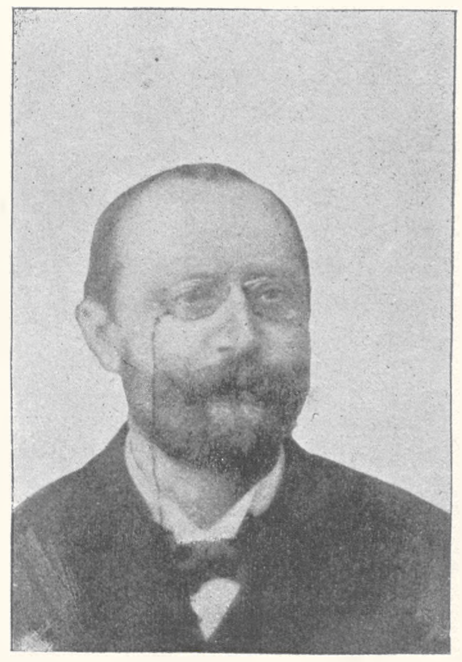
Proces Hilsnera w Pisku.



Karol Danzer,
c. k. radca sądowy I. wotant.



Jan Šonka,
c. k. sekretarz trybunału w Pisku.



Hynek Smutný.
c. k. radca sądowy II. wotant.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

— Andrzeju Dmitriczu będziecie pić piwo? pyta troskliwie.

— Nie, jeszcze nie czas... — odpowiada. — Ja poczekam... poczekam...

Wieczorem przychodzi do niego naczelnik poczty Michał Awierjanicz, jedyny człowiek którego towarzystwo nie męczy Andrzeja Dmitricza. Michał Awierjanicz był niegdyś bogatym obywatelem i służył w kawaleryi, ale straciwszy wszystko, na starość wstąpił na pocztę. Wygląd ma zdrowy, jest trzeźwy, o wypieszczonych siwych bakach, eleganckich manierach i posiada głośny przyjemny głos. Dobry i uczynny ale niezmiernie zapalczywy. Jeżeli kiedy na poczcie kto mu zaprotestuje, albo nie przychodzi wezwany albo zaczyna się wtrącać, to irytuje się i głośno krzyczy „milczeć“. Wobec tego poczta nabrała opinii miejsca, w którem niebezpiecznie bywać. Doktór lubi i szanuje pocztmistrza za jego dobre wychowanie i dobroć charakteru, bo innych traktuje z góry, uważając za niższych od siebie.

— A, otóż jestem! — mówi wchodząc do Andrzeja Efimycza. — Jak się masz mój drogi! Słuchaj, może ja ci przeszkadzam? Co?

— Przeciwnie, bardzo jestem ci rad — odpowiada doktór. — Ja ci zawsze rad jestem.

Przyjaciele siadają na kanapie i przez pewien czas milcząc palą papierosy.

— Dariuszka, może by piwa! — mówi Andrzej Efimycz.

Pierwszą butelkę wypijają nic nie mówiąc. Doktór zamyślony, a Michał Awierjanycz w niecierpliwem oczekiwaniu, jak gdyby miał coś interesującego opowiedzieć.

Rozmowę zawsze zaczyna doktór.

— Jaka szkoda — mówi wolno i cicho, kiwając głową i nie patrząc sąsiadowi w oczy (on nigdy nie patrzy w oczy) — jaka wielka szkoda, kochany Michale Awierjaniczu, że w naszem mieście tak mało ludzi lubi rozumną i interesującą rozmowę. To ogólna nasza zguba. Nawet inteligencya nie podnosi się nad pospólstwo; stopień jej rozwoju, zapewniam was, zupełnie nie stoi wyżej, niż u niższego społeczeństwa.

— W zupełności z tem zgadzam się.

— Przecie wy sami — ciągnie doktór cicho, zastanawiając się, wiecie, że na tym świecie nie wszystko tak bardzo godne uwagi, prócz wyższych porywów duszy rozumu ludzkiego. Rozum stanowi gra-

Eh! — wzdycha pocztmistrz — Chcecie od tutejszych ludzi rozumu?

I opowiada jak było dawniej, jak żyło zdrowo, wesoło i interesująco; jaką była w Rosyi inteligencya i jakie wysokie poczucie czci i przyjaźni. Pożyczali pieniądze na słowo, a wprost podłością było nie podać ręki potrzebującemu. A jakie stosunki, zabawy, jacy towarzysze, jakie kobiety! Kaukaz cudowny kraj! Żona jednego pułkownika ubierała się w oficerski kostyum i sama jedna, bez przewodnika, nocami jeździła w góry. Mówili, że romansowała z jakimś udzielnym książątkiem.

— Królowo niebieska, matko!... — wzdycha Dariuszka.

— A jak piliśmy, jak jedliśmy! Jacy to wtedy byli smakosze!

Andrzej Efimycz zasłuchał się aż nie słyszy; zamyślił się niewiadomo o czem i popija piwo.

— Mnie często śnią się rozumni ludzie i pogawędki z nimi — przerywa nieoczekiwanie Michałowi, Awierjaniczowi. — Mój ojciec dał mi staranne wychowanie, tylko pod wpływem idei sześćdziesiątego roku, kazał mi zostać lekarzem, mnie się jednak zdaje, że gdybym go był nie usłuchał, a kształcił się odpowiednio mojej chęci, byłbym obecnie stał wysoko. Może nawet byłbym członkiem jakiego fakultetu filozoficznego. Chociaż rozum także nie wieczny i z latami podupada i słabnie, ale, wy wiecie, dla czego ja mam pociąg do niego. Życie ludzkie to pułapka. Kiedy bowiem dojrzały człowiek dochodzi do pewnego rozumu, wtedy ma uczucie, że nic nie umie i że znajduje się w jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Bo dla czego bez jego woli zaszczepiają mu życie i każą mu z niebytu schodzić na ziemię? Dlaczego? Chce poznać sposób i cel swego istnienia — nie wytłomaczą mu tego, ale będą mu mówić głupstwa; kołacze do tej wiedzy, ale mu nie otworzą wrót wiadomości; nareszcie przychodzi śmierć — także bez jego woli. I tak jak w więzieniu ludzie związani wspólną niedolą, czują pewną ulgę o ile cierpią razem, tak i w życiu wielu nie widzi labiryntu, dopiero jednostki skłonne do analizy spostrzegają go i szukają wspólnych i zbliżonych niedolą i ideami ludzi, bo wtedy zrozumienie wspólne jest osłodą życia.

— W zupełności prawda.

Nie patrząc towarzyszowi w oczy, cicho, pauzując doktór ciągnie dalej o rozumnych ludziach, rozmowie inteligentnej z nimi, a Michał Awierjanycz uważnie słucha i potwierdza: „w zupełności prawda“.

Legenda o bajce ludowej.

I.

Kiedy wieczorne zorze pogasną,
Przepływa postać łanami wioski,
Na białem czole ma gwiazdkę jasną,
A wiatr rozwiewa bujne jej włoski.
Róże i lilie w twarzy jej kwitną,
Ma zaś źrenicę wielką, błękitną..
W wiejskiej dziewczyny stroju uroczym,
Zjawia się owo widmo na ziemi,
I z rozpuszczonym na wiatr warkoczem,
Idzie łanami rosą lśniącemi,
A za śladami drobnej jej nóżki,
Rosną z zagonów polne kwiatuszki.
Chętnie zagląda do niskich chatek,
Zwłaszcza gdzie dziatwy liczna gromada
I w usta nianiek i dobrych matek,
Ciekawe bajki i piosnki wkłada.
Dzieci słuchają z buzią otwartą
O! takich bajek posłuchać warto!
O dziecku, które w księżyca świetle,
Zmarłą mateczkę widzi na grobie,
O czarownicy, która na miotle
Kominem w nocy wyjeżdża sobie;
Dziatwę ze zgrozy przechodzą dreszcze,
Lecz proszą: „Powiedz matusiu jeszcze!...“

II.

Jest ulubione miejsce tej wróżki
Również, gdzie liczną gwarną drużyną,
Zasiędą kołem prządki-dziewuszki,
Przy kołowrotku szarą godziną.
Buchnie łuczywo, nić zaszeleści,
Najstarsza prządka mówi powieści,
Jak pod postacią złocistej rybki,
Żyła zaklęta młoda królewna,
I o tym Janku, co to miał skrzypki,
Z śpiewającego zrobione drewna.
Dziewczęta wtórzą bajkom kobiety:
„O rany Boskie! oj *rety! rety!*“
Raz zabłądziła bajka-dziewica,
Wprost z chat wieśniaczych i od czeladzi,
Aż do pałacu Jaśnie Dziedzica.
Lecz tam gościowi nie byli radzi.
Dla swojskiej nuty przystęp nie łatwy,
Gdzie francuszczyzna na ustach dziatwy.
„*Państwo*“ się na to krzywi i sarka,
Gdy polska mowa w ucho zaleci,
Tam nawet ruda bona szwajcarka,
W „Żorże“ i „Marie“ przechrzciła dzieci,
I jak kazało jej powołanie,
Wygnała wróżkę i starą nianię.

Konstanty Krumłowski.

świadczenie ludzi albo brak rozwagi i zimnej krwi. Niechaj kto co chce mówi, ale wojna nie jest zdarzeniem takiem, którego by uniknąć nie można". W roku 1897 monarcha nasz wyraził się publicznie, że najgorętszem życzeniem jego jest, by mógł kiedyś swoim poddanym ogłosić tę radosną wiadomość, że wszelkie

Z wojny chińskiej.



Oficerowie armii europejskich składają naradę wojenną.

niebezpieczeństwa, jakieby mogły zagrażać pokojowi, raz na zawsze usunięte zostały.

Za przykładem naszego monarchy poszedł i car rosyjski i wydał manifest pokojowy do wszystkich mocarstw świata a międzynarodowa konferencya pokojowa w Hadze o ogólnem rozbrojeniu, miała przygotować drogę do usunięcia sporów międzynarodowych i międzypaństwowych przy pomocy międzynarodowych sądów rozjemczych — niestety dzięki głównie Niemcom spełzła prawie na niczem.

Międzynarodowy sąd rozjemczy nie jest bynajmniej jakąś chimerą. Obecna polityka pokojowa, na której podstawie rozpanoszył się obecny wszystkich gniotący militaryzm, jest czemś najfantastyczniejszem, najzgubniejszem i najszkodliwszem, co kiedykolwiek złe instynkty ludzkie wywołać mogły: — przeciwieństwo więc tej polityki, czyli międzynarodowy sąd rozjemczy, którego konieczną potrzebę uznają wszystkie wykształcone narody, jest czemś zupełnie możliwem i ze wszech miar pożądanem, ze względu na błogie skutki dla całych narodów stąd wyniknąć mogące. Instytucya ta nie ograniczy bynajmniej samodzielności pojedynczych państw, gdyż ona ma być tylko organem ogólnie przyjętego międzynarodowego prawa, przed którem ugiąć się musi tak małe jak i najpotężniejsze mocarstwo, jeżeli tylko pragnie zająć miejsce w ogólnym koncercie pokojowym państw nowoczesnych. Instytucya taka ma tem więcej prawo do istnienia, że w razie powołania jej do życia, owe miliardy wydawane teraz na uzbrojenie, będą mogły być użyte na cele dobra ogólnego, na podniesienie sił produkcyjnych, na polepszenie doli robotników, otwieranie humanitarnych zakładów i instytucyj, na podniesienie oświaty, sztuk pięknych etc. Emulacya na tem polu, powinna być celem narodów, gdyż to tylko odpowiada godności człowieka...

Błędnem jest mniemanie, jakoby dzisiejsze wielkie kwestye polityczne nie dały się inaczej rozstrzygnąć, jak tylko przez wojnę. Tak znana kwestya Alzacyi i Lotaryngii wedle zdania wielu polityków i mężów stanu należy już do przeszłości i historyi. Zarówno w Niemczech jak i we Francyi zwycięża przekonanie, że wojna narażiłaby obydwa państwa na nieobliczalne straty i co ważniejsza mogłaby nawet zachwiać bytem obydwóch państw. Kwestya wschodnia (turecka), która jeszcze niedawno groziła ogólnym pożarem, zaczyna schodzić także z porządku dziennego, co wskazuje, że rozwikłanie jej zapomocą wojny niedałoby się przeprowadzić, lecz przeciwnie sprowadziłoby jeszcze większe zamięszanie, którego rezultatem mogłaby być zupełna zmiana karty Europy, a państwa zbyt są troskliwe o swój byt i nadto przezornie patrzą w przyszłość, aby się miały na takie ewentualności narażać.

Zdobycze w Azyi są także chimerą i mrzonką; Chiny zbyt są potężne a mocarstwa za bardzo łakome na każdą piędź ziemi, by mogły zezwolić lub porozumieć się co do podziału Chin; do tego zanadto nienawidzą się wzajemnie, by potrafiły ścierpieć wzmożenie się potęgi jednego, które zyskawszy w ten sposób przewagę, mogłoby dla nich stać się groźnem w przyszłości. Dlatego też cała obecna interwencya wojskowa w Chinach spełznąć musi na niczem. Jenerałowie kłócą się już od początku a w końcu przyjść musi do tego, że nagadają sobie impertynencyj i syci chwały i trudów wrócą z tem, z czem pojechali. Narody zaś przez swoich ministrów skarbu usłyszą, że obrona posłów w Pekinie kosztowała miliardy. Czy to nie za droga satysfakcya? Japonia stała się państwem przemysłowem; wyroby jej spotyka się już wszędzie na rynkach europejskich i wkrótce nastaną już czasy, że przemysłowcy europejscy będą musieli zrezygnować z eksportu do Azyi; polityka tz. wielkoświatowa, ekspanzywna mocarstw kontynentalnych sromotnie musi upaść, zmarnotrawiwszy przedtem miliardy na budowę floty. Również i kolonialna polityka w Afryce nie przyniosła spodziewanych owoców, a zabór Transvaalu więcej złego niż dobrego przyniesie Anglii, pomijając już tę okoliczność, że krok ten był najzwyczajniejszym rozbojem.

Wielkie zdanie wypowiedział Tołstoj stwierdziwszy: że „tylko zwierzęta nie umieją się dzielić zdobyczą, lecz walczą; podobnie postępują dzieci, barbarzyńcy i narody dzikie, ale ludzie rozumni i myślący winni załatwiać spory między sobą rozważnie, winni powierzać rozstrzyganie ich ludziom bezstronnym i doświadczonym — tak też powinny działać i narody całe. — Wątpliwość oskutecznej działalności sądów rozjemczych jest nieuzasadnioną. Wszakżesz żadne mocarstwo nie odważy się połączonej Europie narzucać swojej woli, lecz musi ukorzyć się przed wyrokiem, w obronie którego staną wszystkie państwa, celem utrzymania powagi prawn i sprawiedliwości.

Dzisiaj niejeden przysłuchując się wykładom czy też studyując rozprawy o wiecznym pokoju, nie wierzy w jego urzeczywistnienie, ale zastanowiwszy się przyjść musi do tego przekonania, że jedynym ratunkiem i środkiem zaradczym przeciw ruinie materyalnej i jej następstwom grożącym całej ludzkości, jest ogólne rozbrojenie i wieczny pokój; jest to konieczność socyalna, która z bezwzględnością praw naturalnych prędzej czy później ziścić się musi!

Oby stało się to jak najwcześniej.

José Echegeray.

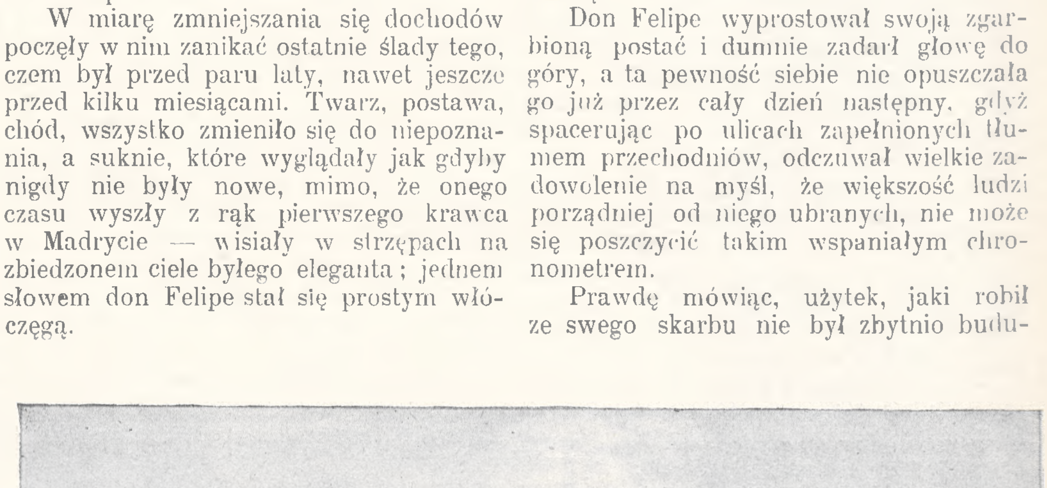
Co wart zegarek?

Opowiadanie.

Czem był don Felipe? Był... eleganckim młodym człowiekiem, zapalonym wielbicielem i zepsutym ulubieńcem płci pięknej, dzielnym sportsmanem i w dodatku eleganckim graczem. Nie przeciążał się zbytnio nauką, lecz wiedział tyle, ile potrzeba aby uchodzić za wykształconego, zwłaszcza, gdy się znachodził w towarzystwie jeszcze większych nieuków niż on sam. Pieniądze były dlań rzeczą najobojętniejszą pod słońcem, to też starał się usilnie o to, aby się ich pozbyć jak najprędzej. Osiągnąwszy powyższy cel i zostawszy bez grosza, zmienił wprawdzie swoje zapatrywania, lecz nie doprowadziło to do żadnych pozytywnych rezultatów, gdyż pieniądze rozsypane na cztery wiatry, nie miały najmniejszego zamiaru powracać, a wraz z nimi znikły też wszystkie piękne, a wyżej wyliczone przymioty don Felipa. Wobec tego musiał on pomyśleć co rychlej nad obraniem jakiegoś zawodu. Nie sprawiało mu to żadnych trudności, gdyż bez namysłu powziął zamiar zostania t. zw. „szermierzem", którym to wyrazem oznacza pospólstwo ludzi, czyhających na dawnych znajomych przed teatrem lub po ulicach, celem „naciągnięcia" ich na pożyczkę.

Zrazu interes ten szedł wcale dobrze, jak to zwyczajnie bywa z nową założonymi przedsiębiorstwami. Każdy niemal z byłych jego przyjaciół uważał sobie za wielką przyjemność wesprzeć raz biedaka stu pesetami; za drugim razem otrzymał już tylko jednego dura, ze stosowną porcyą nauk moralnych, za trzecim zaś częstowano go niedziakami, które i tak poczęły coraz skąpiej napływać, gdyż większość spotykanych ex-przyjaciół nie mogła sobie ani rusz przypomnieć żadnego don Felipa...

W miarę zmniejszania się dochodów poczęły w nim zanikać ostatnie ślady tego, czem był przed paru laty, nawet jeszcze przed kilku miesiącami. Twarz, postawa, chód, wszystko zmieniło się do niepoznania, a suknie, które wyglądały jak gdyby nigdy nie były nowe, mimo, że onego czasu wyszły z rąk pierwszego krawca w Madrycie — wisiały w strzępach na zbiedzonem ciele byłego eleganta; jednem słowem don Felipe stał się prostym włóczęgą.



Balon hr. Zeppelina.

Zawód „szermierza" nie jest wcale stosownym do utrzymywania się z niego, lecz don Felipe musiał być mu wiernym, gdyż czem innem nie umiał się niestety zająć. To też pewnego wieczora stanął sobie na warcie przed klubem, którego członkiem był sam onego czasu, czyhając na zdobycz. Po długiem wyczekiwaniu, oczom jego ukazał się jakiś młody, elegancko ubrany człowiek, który właśnie wychodził z bramy. Nerwowe drganie jego śmiertelnie bladej twarzy i ponury płomień, żarzący mu się w oczach, zdradzały jakieś silne rozdrażnienie.

— Czy dziś nic mi nie dasz? — zagadnął don Felipe, idąc za spóźnionym wędrowcem.

Zaczepiony obrócił się, i patrząc badawczo przez kilka sekund na otuloną w łachmany postać, mruknął:

— Ach, to ty?... Zresztą, niech i tak będzie... odegrasz rolę przeznaczenia w ostatniej próbie, która rozstrzygnie o mojem życiu lub — śmierci... Wybieraj!

Przy tych słowach don Luis wyciągnąwszy z kieszeni złoty zegarek i rewolwer podał oboje dawnemu przyjacielowi. W blasku latarni gazowej zabłysły oba przedmioty równie jasno i przyjaźnie, tak, że don Feiipe pod wpływem chwilowego napadu szlachetności, byłby z pewnością sięgnął po rewolwer, gdyby nie jego czarny, wstrętny wylot, który przejął go obrzydzeniem. To też wziął zegarek.

— Oto jest przykład „pechu" ścigającego mnie od kołyski — krzyknął don Louis, śmiejąc się dziko. Opatrzność sama wskazała mi jedyną, pozostałą jeszcze drogę. Zanim słońce zeszle swoje pierwsze promienie, już mnie nie będzie między żyjącymi, a jego blaski oświecą skostniałego trupa z roztrzaskaną czaszką.. Bądź zdrów i módl się za moją biedną duszę!

Oddalił się. Don Felipe już miał za nim pospieszyć, lecz został powstrzymany przez różne myśli cisnące mu się do głowy: Od słów do czynu droga daleka. Już chyba ja miałem równie słuszne powody do palnięcia sobie w łeb, a nie uczyniłem tego, więc i on da sobie prawdopodobnie spokój. Zresztą Luis był zawsze człowiekiem lekkomyślnym i można się było spodziewać, że skończy niedobrze.

W tej chwili zegar z wieży pobliskiego kościoła oznajmił trzecią godzinę po północy. Don Felipe spoglądnąwszy na swój zegarek, który wskazywał godzinę trzecią minut dziesięć, potrząsnął z niezadowoleniem głową, mrucząc do siebie: Już to na te zegary wieżowe nie można się wcale spuszczać! A przecież skutki ich niedokładności mogą być bardzo smutne, zwłaszcza jeźli się zważy, iż w życiu ludzkiem wszystko zależy nieraz od jednej chwili. To też posiadanie dobrego zegarka, wskazującego dokładnie w jakiej porze dnia lub nocy człowiek się właśnie znajduje, jest nietylko przyjemnością ale i potrzebą.

Don Felipe wyprostował swoją zgarbioną postać i dumnie zadarł głowę do góry, a ta pewność siebie nie opuszczała go już przez cały dzień następny, gdyż spacerując po ulicach zapełnionych tłumem przechodniów, odczuwał wielkie zadowolenie na myśl, że większość ludzi porządniej od niego ubranych, nie może się poszczycić takim wspaniałym chronometrem.

Prawdę mówiąc, użytek, jaki robił ze swego skarbu nie był zbytnio budującym, gdyż ograniczał się on do dokładnego zmierzenia czasu, potrzebnego don Felipowi do wypicia jednej szklanki wina w pokątnej restauracyi; wyniki poszczególnych badań były zawsze przezeń troskliwie notowane na osobnym kawałku papieru. Była to bądź co bądź pierwsza wytrwała i konsekwentna robota zbankrutowanego młodzieńca; czasami wstydził się nawet swojej bezczynności, wi-

dząc nieustanną pracę swego wiernego towarzysza...

Zanim jednak te budzące się do życia szlachetne porywy mogły przybrać wyraźniejszą postać, nadeszła katastrofa kładąca kres temu niewinnemu zresztą zatrudnieniu.

Burzycielem tej cichej idylli stał się ajent policyjny, popijający sobie malagę w tymsamym szynku, który był widownią chronometryczno-pijackich obserwacyj don Felipa. Zacnemu temu mężowi nie podobało się, iż obdarty włóczęga piastował tak cenny klejnot, to też nie namyślając się długo, zabrał zegarek wraz z właścicielem do należytego przechowania. Po krótkiej pielgrzymce obaj znaleźli się u celu t. j. zegarek w ogniotrwałej kasie, a don Felipe w areszcie.

Felipowi (w kryminale nikt nie używa słowa „don“ w odniesieniu do więźniów) pozbawionemu jedynej rozrywki, przybyło naraz bardzo wiele czasu do rozmyślania; zgnębiony hańbą jaka nań spadła wraz z podejrzeniem o prostą kradzież, zaczął rozpamiętywać swoje przeszłe życie i już wkrótce powziął jak najlepsze zamiary względem poprawienia się. Dochodzenia wstępne ciągnęły się bez końca, gdyż sąd nie chciał uwierzyć jego zapewnieniom, a wszelkie poszukiwania za człowiekiem, któremu mogło być skradzione *corpus delicti,* chronometr, pozostały bez skutku. Don Luis, na którego powoływał się Felipe znikł również jak kamfora, to też biedny Felipe siedział już 6 miesięcy w więzieniu i nie prędko byłby z niego się wydostał, gdyby nie to, że stara ciotka don Luisa uważała za stosowne pożegnać ten świat, pozostawiając swemu spadkobiercy dozgonny żal i sporą ilość monety. W ślad za tem pojawił się niedoszły samobójca na madryckim bruku i zasłyszawszy o losie dawnego towarzysza hulanek, pospieszył mu z pomocą.

Opuszczając mury więzienne Felipe był już skruszonym i nawróconym grzesznikiem. Fakt taki należy wprawdzie do wyjątków, ale i te zdarzają się na świecie!

Ów słynny chronometr stał mu się odtąd narzędziem do wymierzania sobie długich godzin usilnej pracy a krótkiej rozrywki i jeszcze krótszego snu. Z wytężeniem wszystkich sił starał się Felipe iść za przykładem zegarka, który uważał za symbol ścisłej punktualności i niestrudzonej pracy, a choć ścieżka wiodąca do

Proces Hilsnera w Pisku.



Matka A Hruzównej składa przysięgę.

spokoju i dobrobytu była stromą i ciernistą, jednak przebywszy ją szczęśliwie, znalazł się nakoniec u celu.

Przez cały szereg lat poświęconych wytrwałej pracy nic nie słyszał o don Luisie, co zresztą niebardzo mogło zdziwić, gdyż drogi ich życia szły w dyametralnie przeciwnych kierunkach.

Wracając wszakże pewnego wieczoru z biura do rodzinnego ogniska (Felipe był już wtedy ojcem rodziny) spostrzegł



Królowa Wilhelmina holenderska.

żebraka, proszącego kornie o jałmużnę, a dźwięk jego głosu zabrzmiał znajomą nutą w uchu Felipa...

Był to don Luis. Wszystkie pieniądze jakiemi w danej chwili rozporządzał Felipe, przeszły do rąk tego, który był bezpośrednio przyczyną szczęśliwych jego losów, a gdy obdarowany Luis chciał odejść w swoją drogę, Felipe zatrzymał go mówiąc:

Masz jeszcze swój zegarek... mnie on już zbyteczny. Licz na nim godziny tak, jak ja to czyniłem i używaj czasu tak, jak ja go obecnie używam, a wprędce przekonasz się, że mądrze używany zegarek jest iście nieocenionym skarbem. Jeśli zaś zechcesz przyjść do mnie jutro, to dam ci parę lekcyi obchodzenia się z tym najlepszym drogowskazem do szczęścia...

Po niedługim już czasie mógł się chronometr poszczycić tem, iż za jego przyczyną dwóch ludzi stało się użytecznymi członkami społeczeństwa. Oby wszystkie zegarki świata oddawały swym posiadaczom podobne usługi!

Z pogadanek o teatrze.

(Dokończenie.)

Tymczasem dorastający syn margrabiny, Vittorin, (Morska) ku wielkiemu zmartwieniu swego magistra (Przybyłowicz), zamiast łaciny i greki uczy się strzelać, zamiast wczytywać się w klasyków starożytnych, biega po górach, bawi się z chłopakami wiejskimi w rozbójników, słowem rwie się do prawdziwego życia z przyrodą, do piękna, światła, do księżyca, słońca i gwiazd. Margrabina chce w tym czasie wstawić nowy obraz do ołtarza kaplicy zamkowej. Przyjaciel jej, poczciwy, dobroduszny ojciec Bentivoglio (Zelwerowicz) sprowadza malarza Silvia (Sobiesław), który niegdyś kochał margrabinę, gdy jeszcze była dzieweczką.

I następuje „odrodzenie“. Tęskniące dusze zbliżają się ku sobie; margrabina służy malarzowi za model do oblubienicy dla obrazu „Wesele w Kanie“ i nie mogąc się oprzeć głosowi uczucia, oddaje ukochanemu napowrót serce, za którem oczywiście pójdzie jej ręka. Młodego Vittorina, budzi do życia namiętnym pocałunkiem Mirra, (Ordonówna) modelka z Rzymu, którą chwycił za serce młody niewinny chłopak. Vittorin marzy o słowie i życiu artysty, a wiadomość o miłości między jego matką a Silviem utwierdza go w postanowieniu pójścia w świat i zdobywania laurów artysty. Wreszcie i magister Severino znęcony wdziękami pięknej Coletty (Jutkiewicz) postanawia rzucić księg i pojąć ją za żonę... Zatem „Odrodzenie“ na całej linii. Sztuka napisana scenicznie, pełna miłych epizodów i trafnych efektów; pięknie przetłomaczony wiersz brzmi niekiedy jak muzyka, pełna prawdziwej, serdecznej poezyi.

Pani Morska grała Vittorina z taką brawurą, z takim zapałem i ogniem, że naprawdę chwilami zapominaliśmy, że to „pani“ Morska. Nie wątpię, sądząc po jej przejęciu się rolą, że ona sama o tem czasem zapominała. Pani Siemaszkowa, trudną swą rolę zagrała bardzo sympatycznie, jakkolwiek postać ta nie leży w zakresie jej talentu. P. Przybyłowicz i Sobiesław trafili, jak to mówią, w sedno rzeczy; scenę oświadczyn z Colettą zagrał p. Przybyłowicz przewybornie.

Z prawdziwem uznaniem podnieść należy grę naszego młodego artysty p. Zelwerowicza. Miara i spokój, przeczysta dykcya i sumienne obmyślenie szczegółów roli dowodzące wybitnego talentu obserwacyjnego, złożyły się na doskonałą, wprost klasyczną postać starego mnicha. Pan Zelwerowicz będzie niezawodnie wielkim artystą. Panna Jutkiewicz w roli Coletty złożyła również widomy dowód temperamentu scenicznego i talentu. Mówiła bardzo ładnie, grała żywo i jednolicie. Nie wątpimy też, że dyrekcya oceniając należycie młode siły, da im częściej pole do rozwijania zdolności, zwłaszcza że bez tego bodźca każdy młody talent zmarnieć musi. Panna Ordonówna grała modelkę za drastycznie, przytem ubrana była niewłaściwie.

Reżyserya sztuki jest wzorowa. „Oddzenie“ utrzyma się z pewnością długo na repertuarze, Bodajby też było zaczątkiem nowej, lepszej ery dla nowego teatru.

Dr Włodzimierz Lewicki.

Ku źródłu prawdy.

Moderniści francuscy zwracają się powoli ku katolicyzmowi. Sceptyczny Lemaitre pióro swe poświęca obronie Kościoła zaatakowanego zewsząd przez socyalistyczno-radykalny rząd francuski, Bourget oczyszcza powoli swe dzieła z naturalistycznych naleciałości, Coppée stał się już niemal ascetą, a Huysmans całymi dniami rozmyśla w kaplicach Trapistów i Benedyktynów. Podobny zwrot, choć mniej widzialny, zauważyć można u innych, że pominiemy milczeniem Brunetière'a i Melchiora de Vogué.

Najdziwniejszemi zaiste były ścieżki, któremi Huysmans podążał ku źródłu prawdy, dopóki doń nie dodarł. Czem on nie był! W poprzednich jego dziełach doszukasz się cynicznego naturalizmu w guście Zoli i baudelairowskiego demonizmu i mistycyzmu a la Verlaine — dziś człowiek ten dochodzi do równowagi i wydaje „Pages catholiques“. Na dzieło to złożyły się przed kilku laty już napisane „W drodze“ i „Katedra“. „W drodze“, zaraz po ukazaniu się na półkach księgarskich, wywołało sensacyę i dwie całkiem sprzeczne krytyki. Brutalni naturaliści uważali książkę za dowód apostazyi od przyjętego dotychczas przez autora kierunku, katolicy potępili ją, jako gorszącą. Nikt nie wątpił, że w duszy autora nastąpił przewrot, wiedzieli o tem i wolnomyślni i wierzący.

Pierwsi uważali „En route“ za nowy wybryk wyobraźni i nerwów zblazowanego do przesytu wszelkiego rodzaju wrażeniami literata-artysty o sztucznych, wyszukanych upodobaniach, drudzy nie chcieli wierzyć w trwałość, a może i w szczerość jego nawrócenia.

Istotnie, już wtenczas, kiedy pisał najbardziej chorobliwy ze wszystkich swoich utworów „A Rebours“, Huysmans szukał nieraz rozkoszy i znajdował upodobanie w katolickiej literaturze i sztuce. Ale upodobania te były nienaturalne, dziwaczne, jakaś mieszanina chorobliwego mistycyzmu i wyrafinowanych namiętności przeżytego rozpustnika. Bohaterowi tego dzieła są naprzemian strawą Tomasz a Kempis i Schopenhauer, Hello i Flaubert, Veuillot i Baudelaire, Lacordaire i Verlaine; w malarstwie zachwyca się Fra Angelikiem i Gustawem Moreau, w muzyce ceni najwyżej stare gregoryańskie melodye i Schumana. Wogóle dla wywołania nowych wrażeń szuka kontrastów i sztucznej podniety, obojętny, gdzie i w jaki sposób ją znajdzie. Jest to typowy okaz dekadentyzmu i rozstrojonego systemu nerwowego.

A jednak „A Rebours“ to pierwszy krok ku źródłu prawdy. „En route“ — to już naprawdę droga do Damaszku.

Zamiłowanie średniowiecznej sztuki chrześciańskiej, w tajemniczych wnętrzach goty-

Proces Hilsnera w Pisku.



Leopold Hilsner, morderca Hruzównej.

ckich, gdzie nieporównane witraże sieją w półcienie ostrołukowych sklepień przepychy barw tak żywych i tak świetnych, że żaden pędzel nie jest zdolny uwięzić je na płótnie: upodobanie w „prymitywach“ malarstwa i rzeźby, w nieskażonych melodyach śpiewu i liturgii kościelnej, to w duszy bohatera „En route“ szeroko otwarte okno, przez które coraz jaśniejsze poczynają przezierać promienie prawdy.

„W drodze“ — to spowiedź, detaliczna, dokładna, za detaliczna analiza nawrócenia się i przejrzenia. W tej spowiedzi Huysmans przebiera nieraz miarę w szczerości, daje się unieść swej naturalistvcznej żyłce, odsłania i opowiada szczegóły, od których każdy spowiednik dyspensowałby go z ochotą. Wszystko w tej książce jest prawdziwe i wierne; osoby i wypadki, wrażenia i miejscowości, pokusy i konsolacye duchowne, wszystko to Huysmans widział, przeżył, przeszedł.

Od pierwszego wydania książki upłynęło lat sześć; Huysmans jest dziś katolikiem praktykującym otwarcie. Obecnie stałem jego miejscem pobytu jest pustelnia, zbudowana w Liguge w Poitou, na skraju samotnych lasów, tuż przy benedyktyńskim klasztorze. Tam przygotowuje „Życie Lidwiny z Szidamu“ i „L' Oblat“. Jak „W drodze“ obejmuje mistykę, a „Katedra“ symbolizm, tak „L' Oblat“ ma zawierać katolicką liturgię.

Nawrócenie się Huysmansa jest tedy faktem, niedającym się zaprzeczyć i niewątpliwym. Nowe wydanie „En Route i La Cathedrale“ pod ogólnym tytułem „Pages Catholiques“, fakt ten jaknajsilniej potwierdza. Huysmans odgrywa tu rolę surowego sędziego swych własnych literackich utworów, a zarazem i sumiennego wykonawcy wyroku. Sam, własnoręcznie przykłada siekierę do korzenia, tnie na prawo i na lewo bez miłosierdzia, robi istne poręby w tej gęstwinie różnorodnych myśli i wrażeń, oczyszcza, uprząta, odrzuca i dodaje nareszcie czytelnikowi do ręki rzeczy, nietylko wielkiej artystycznej i literackiej wartości, lecz nadto wiele ustępów prawdziwie podniosłych, tchnących głęboką czcią dla Kościoła, szczerym entuzyazmem dla jego piękności, dziecięcem, niemal naiwnem przywiązaniem do Matki Bożej. Niektóre stronice porywają prostotą i prawdą, jakie tylko szczera, głęboka wiara natchnąć jest zdolną.

Tak opisuje Durtal mszę świętą, służącego chłopczynę — ministranta, w podziemnej krypcie katedry w Chartres i komunię, do której kazał mu przystąpić jego spowiednik ks. Gévresin:

„Ukazał się chłopczyna, służący do mszy, wyprzedzając staruszka księdza i poraz pierwszy, Durtal ujrzał mszę odprawianą jak należy, zrozumiał niepojętą piękność, jaką tchnąć może, wiernie, dokładnie rozważana ofiara święta.

„Dziecię na klęczkach, z duszą nastrojoną, ze złożonemi rękami, mówiło głośno, powolnie, wypowiadało z taką uwagą, z taką czcią zwroty psalmu, że znaczenie tej przedziwnej liturgii, która nas już przestaje zdumiewać, bo jej nie znamy inaczej, jak tylko bełkotaną niezrozumiale, odprawianą szeptem, pospiesznie, naraz odsłoniła się przed Durtalem...

„Jedynie chyba to szczególne dziecko, mogłoby bez obłudy rozmawiać z Bogiem, myślał dalej, patrząc na małego ministranta, pojmując poraz pierwszy, naprawdę, czem były niewinne lata dziecięce, mała duszyczka bez grzechu, nawskroś biała i czysta.

„Obrzęd święty ciągnął się dalej, powolny, pogrążony w kornej ciszy obecnych i dziecię uważniejsze niż dotąd, większem jeszcze zdjęte uszanowaniem, zadzwoniło: byłto jakby snop iskier, pryskających wśród dymu sklepień; i cisza stała się głębsza poza ministrantem na klęczkach, podtrzymującym jedną ręką ornat pochylonego nad ołtarzem kapłana; i podniosła się hostya w przędzy srebrzystej dźwięków; potem, ponad schylone głowy, zabłysnął, w iskrzącem jasno brzmieniu dzwonków, wyzłacany tulipan kielicha i, po ostatniem przyspieszonem dzwonieniu, pozłocisty kwiat zniknął i podniosły się schylone postacie.

„Durtal — marzył:

„Gdybyż jeszcze Ten, któremuśmy odmówili schronienia, wówczas, gdy Matka, co go nosiła, miała porodzić, znajdował w duszach naszych przynajmniej teraz serdeczny przytułek! Ale niestety! prócz tych zakonnic, tych dzieci, tego duchowieństwa, oprócz tych wieśniaczek, którego tak miłują, tutaj, wieluż jest bez wątpienia, podobnie jak ja, zakłopotanych Jego przybyciem, niezdolnych w każdym razie, do przygotowania mu schronienia, na które liczy, do przyjęcia Go w czystej izbie, w uprzątniętem mieszkaniu?...

„Zbliżała się chwila komunii; dziecię przerzuciło zwolna obrus na drugą stronę balustrady, i siostry zakonne, ubogie kobiety, wieśniacy, zaczęli podchodzić, każdy ze skrzyżowanemi rękami, z pochyloną głową; a dziecko ujęło świecę i poprzedzało księdza, zamknąwszy oczy, z obawy by nie spojrzeć na hostyę.

„Tyle było uniesienia, miłości i czci w tej małej istocie, iż Durtal otworzył usta z podziwienia i jęknął z przestrachu. Niezdolny by sobie zdać sprawę z ogarniającej go ciemności, z tych pragnień, z tych rozlicznych fal uczuć, które gdy poruszą człowiekiem, żaden język nie jest wstanie ich oddać, poczuł się poważnym ku Bogu i odepchniętym.

„Nieubłagane, nasuwało się porównanie między duszą dziecięcia i jego własną. Ależ to jemu przystąpić do komunii, nie mnie, wołał w duszy; i pozostawał bez ruchu, z rękami złożonemi, nie wiedząc, na co ma się odważyć, w usposobieniu błagalnem zarazem i lękliwem, gdy uczuł się łagodnie popchniętym do stołu pańskiego i przyjął komunię“...

„Katolickie kartki“ nie dadzą się streścić; nie ma w nich jednolitości ni planu; są jakby rodzajem dziennika, pozszywanego z luźnych kartek, na które autor rzucał przy sposobności wrażenia i myśli. Żadna recenzya nie może dać o nich należytego pojęcia. Styl, pominąwszy pewną ilość latynizmów i dziwactw językowych, jest, jak zawsze u Huysmansa, nawskróś oryginalny, barwny, żywy, bogaty, prawdziwie mistrzowski.



Hr. Zeppelin.

Stłuczona filiżanka

HUMORESKA

LEONA XANROFA.

Boitsec powziął silne postanowienie nie wracania już nigdy więcej do knajpy „Pod beczką Danaid“ i od trzech dni dotrzymywał słowa. Ku niesłychanemu zdziwieniu swego stróża wracał, nie wchłonąwszy zwyczajnej porcyi absyntu w domowe ściany i to, aby pracować.

Nie ufając jednak zbytnio swojej stałości charakteru omijał przez trzy dni z rzędu Rue Racine, na której mieści się owa mitologiczna knajpa; dopiero czwartego dnia, czując się uspokojonym i pewnym siebie postanowił ukazać się na ulicy, po której tak często zwykł był się przedtem wałęsać. Szybko przeszedł nią aż do wejścia do restauracyi, lecz chcąc je ominąć, poczuł iż nie jest jeszcze dostatecznie opancerzonym, więc przeniósłszy odwrót nad porażkę, zmienił drogę...

Wolą przeznaczenia było wszakże to, iż właśnie na tej drodze spotkał się z niejakim Boulapin, wiecznym studentem i stałym gościem z pod „Beczki Danaid“, który pochwyciwszy zbiega w ramiona uściskał go i przycisnął do serca, wołając:

— Ależ to ty, Boitsec! Od trzech dni oko ludzkie cię nie widziało! Chciałem już pójść do ciebie! Myśleliśmy, żeś chory lub zakochany. Napijesz się absyntu?

I w trakcie tego Boulapin wlókł już daremnie protestującego Boitseca w kierunku „Beczki Danaid“.

— Ależ nie, mówię ci przecież, że nie mam czasu, a nadto postanowiłem...

— No, przecież nie zechcesz dać mi kosza? Co? Co? Musisz mi dać satysfakcyę mój panie! — Wypijesz tylko jeden mały, maleńki absyncik... No, chodźże!

Równocześnie Boulapin otworzywszy drzwi knajpy wepchnął Boitseca do środka.

Na widok jego cała publiczność zapełniająca lokal, a złożona z kasyerki, kelnera i jakiegoś słuchacza praw, wydała jeden wielki okrzyk radości.

— Hurra! Ależ to Boitsec!... Od trzech dni nikt cię nie widzi! — Myśleliśmy już żeś chory lub zakochany!

Boitsec wzruszony tak serdecznem przyjęciem usiadł, a nie chcąc łamać uczynionej przysięgi, zamówił sobie filiżankę ciepłego mleka.

— Mój biedny druhu — rzekł smutnie Boulapin — widzę, że nie bez przyczyny obawialiśmy się o twe zdrowie...

— Ależ nie, wcale nie! Poprostu postanowiłem nie chodzić już tu więcej. Wyrachowałem, że tracę na tem po pierwsze dużo czasu, po drugie dużo pieniędzy, że głupieję coraz bardziej...

— Jeszcze bardziej? Chimera! — zauważył Boulapin.

— Nadto przyszedłem do przekonania, że na dalsze prowadzenie tego zaiste śmiesznego życia, nie dozwala mi ani moje zdrowie, ani też stan mego pugilaresu.

— No! Dziękuję!

— A czy wiesz, ile tu wydałem od początku miesiąca? Rachunek prosty: czterdzieści trzy śniadania po...

— Co? Czterdzieści trzy śniadania?... Chyba jadasz po dwa dziennie?

— Nie, lecz często przyprowadzam ze sobą przyjaciela...

— Aha!

— Więc czterdzieści trzy śniadania po...

Tutaj dalszy rachunek Boitseca, który odsunął filiżankę z mlekiem za pomocą łokcia, chcąc sumować cyfry na stole — został niemile przerwany spadnięciem wyż wspomnianej filiżanki na ziemię. Brzdęk — zostały tylko skorupy.

— A niechże cię — krzyknął — pewnie będę musiał za to zapłacić...

— Cóż znowu — rzekł Boulapin — przecież to ja cię prosiłem...

— Ależ na absynt, nie na potłuczone filiżanki!

— Wszystko jedno... Zresztą jest bardzo prosty sposób rozwiązania kwestyi; zagrajmy o te skorupy.

— Dobrze!

Kelner przyniósł talię kart i po pięciu turach *ecarté* Boitsec przegrał filiżankę; wobec tego Boulapin zaproponował mu grę o filiżankę z jednej, a cały rachunek z drugiej strony. Boitsec zgodził się jedynie po to, by przegrać w następnej partyi i rachunek. W chwili, gdy rozzłoszczony wstawał od stołu, ukazał się we drzwiach Gaduchet, „żelazny medyk“ i trzęsąc swoją równie bujną jak rozmierzwioną grzywą zapiszczał:

— Patrzajcie! Ależ to Boitsec! Od trzech dni oko ludzkie cię nie widziało! Myśleliśmy wszyscy, żeś chory lub zakochany. No cóż ty porabiasz?

— Właśnie dla tej obmierzłej filiżanki przegrałem rachunek — odparł gniewnie zapytany.

— Chcesz może, to zagramy w domino o nią i o to com tu winien? dobrze?

— A dużoś winien?

— Ale skąd!

I jeszcze zanim kelner zdążył nowemu przybyszowi dostarczyć absyntu, Boitsec zdążył przegrać rachunek Gaducheta w wysokości 6 franków 75 centimów.

— Przekleta filiżanka! — mruknął powstając.

— Tak, tak — zauważył Farmolet, ów słuchacz praw, który z widocznem zainteresowaniem śledził przebieg gry w domino — nie masz dziś szczęścia.

— Święta prawda i dlatego idę co zjeść.

— Wiesz co, mam myśl... Zagrajmy o to wszystko coś przegrał, przeciw dwom obiadom!

— Przeciw „naszym“ obiadom?... Dobrze, zgoda! — rzekł Boitsec.

— Ale w warcaby!

— Dobrze, grajmy w warcaby. Ale muszę też sobie zamówić absyntu; jestem silnie przekonany, iż grałem tak źle dlatego, iż nic jeszcze sobie nie golnąłem.

Gra szła nie na żarty; Boitsec podniecony absyntem już zaczął wygrywać, gdy wtem włazi jakiś student olbrzymiej postawy z niesłychaną fajką w zębach i na widok Boitseca ryczy grzmiącym basem:

— Ależ to Boitsec! Od trzech dni oko ludzkie cię nie widziało! Myśleliśmy już, żeś chory lub zakochany!

Taka przerwa nie posłużyła Boitsecowi wcale do tem lepszego skupienia uwagi; zaczął źle grać i przegrał obiady. Wstając rzekł ze złością do grubego studenta:

— Descrevisses, to że przegrałem jest winą twoją i tej przebrzydłej filiżanki!

— Ależ jak najchętniej służę ci rewanżem — odparł Descrevisses. - Jeżeli chcesz zagram z tobą o ten cały kram przeciwko dwudziestu paczkom tytoniu...

— Grajmy w kości... To przynajmniej nie tak nudne — dodał z uśmiechem, siadając przy stole.

— Niech i tak będzie — rzekł Boitsec, ciesząc się nadzieją, że wreszcie wszystko odegra.

Po kwadransie gry w kości, która przyprawiła całe towarzystwo o silny ból głowy, gdyż olbrzymi Descrevisses wyprawiał niesłychane hałasy, zarówno rzucając kości jakoteż rycząc i śmiejąc się podczas gry, Boitsec przegrał nareszcie i owe dwadzieścia paczek tytoniu.

— I wszystkiemu winna ta przeklęta filiżanka! — ryknął wściekły, grzmocąc szczątkami nieszczęsnego naczynia z całych sił o ziemię.

— Tak, tak — mruknął gospodarz ze źle skrywaną radością — to wcale ładny rachuneczek! Ale pan to odbijesz innym razem — dodał, nibyto litując się nad „pechowcem“.

Boitsec nie tracąc czasu na odpowiadanie pomaszerował do kasy, gdzie obliczył się z uprzejmą bufetową. Rachunek przedstawiał się jak następuje:

Absynt i mleko . . .	fr.	0·60
Rachunek Gaducheta .	„	6·75
Dwa obiady	„	7 50
Dwa absynty	„	0·60
20 paczek tytoniu . . .		12·00
Razem	fr.	27·75

Boitsec rzucił na stół dwa ludwiki i nagle przypomniawszy coś sobie, zawołał:

— Ach, przecież zapomniałem o tej przeklętej filiżance: proszę jeszcze doliczyć — jedna filiżanka...

— Filiżanka?

— No tak, filiżanka, którą stłukłem i mam zapłacić...

— Ależ panie Boitsec — rzekła kasyerka z najmilszym swoim uśmiechem — przecież za stłuczone naczynia nigdy się w naszym zakładzie nie płaci!

Z secesyjnej sceny.

Tylekroć używane i nadużywane słowo, będące zarówno etykietą dobrych, uczciwych fabrykatów artystycznych jak i konikiem, na którym miernoty zamierzają dokonać tryumfalnego wjazdu na wyżyny Parnasu, służy za szyld jednej ze scen berlińskich, „Secessionsbühne“.

Przeciętny filister pruski lubi czasem „nowe dreszcze“, więc po dziennej pracy, zaspokoiwszy żołądek połówką gęsi ż tradycyonalną sałatą ogórkową, spieszy do zielono wytapetowanej sali i tam, zasiadłszy w krześle, wchłania dziwaczne utwory „nastrojowcow“, czasami śmieje się, czasami płacze, a zawsze dziwi się wszystkiemu. Nawet po sto razy obrabiane tematy, litanie najoklepańszych komunałów i dziecinne arlekinady przepełnione płaskim nadsprewiańskim lub nadizarskim „witzem“ wydają mu się w ramach „secesyi“ czemś zupełnie nowem. O wszechpotężna fantazyo Bierbrudrów!

Ostatni „wieczór nowości“ dał tym filisterskim secesyonistom tyle niezwykłej i pikantnej strawy duchowej iż każdy z opasłych „skacistów“ będzie miał chyba na cały rok temat do opowiadania przy piwie i knedlach. Czego tam nie było!

Więc naprzód Hugo von Hoffmansthal, jeden z głośniejszych w Niemczech „modernistów“ uraczył publiczność fantazyą dramatyczną p. t.: „Głupiec i śmierć“. Jest to pogawędka między szlachcicem hiszpańskim, śmiercią i kilku gadatliwymi duchami. Należy przyznać, że Hugo von Hoffmansthal pojął śmierć bardzo oryginalnie, gdyż wymarzona przezeń kostusia jest wirtuozką na skrzypcach i mocą czarodziejsko-hypnotyzujących dźwięków wywabia na scenę całe kompanie różnych duchów, które jaknajposłuszniej w świecie przychodzą, gadają wiersze i wynoszą się z powrotem w takt kościotrupiej muzyki. Grzeszny szlachcic Claudio dowiaduje się z ich ust, jak marnie przepartaczył swój żywot, a skruszony wymownymi deklamacyami śmierci i jej towarzyszy, zabiera się z całą skwapliwością do umierania, mimo iż jeszcze na chwilę po podniesieniu kurtyny objawiał wcale niedwuznaczną chęć dalszego życia. W sam czas przekonywuje się, że zamało kochał swoją nieboszczkę mamę, czuje silne wyrzuty sumienia odnośnie do porzuconej kochanki, a już zmarły przyjaciel, któremu był złym duchem, przyprawia go o ostateczną skruchę. Wszystkie wyżej opisane postaci zjawiają mu się w takt muzyki skrzypcowej, palą stosowne oracye, poczem, dokonawszy zamierzonego przez autora celu zabierają się tam, skąd przyszły; Claudio oddaje się śmierci na łaskę i niełaskę.

Bezwątpienia jest w tym obrazku sporo poezyi i nastroju, lecz zewnętrzna szata, w jaką Hugo von Hoffmansthal ubrał nie nową zresztą bajkę, jest tak lalkowata, tak zimna i zewnętrznie — teatralna iż psuje zupełnie wrażenie. Całemu marszowi duchów“ zbywa na odpowiedniej powadze a rzępoląca śmierć jest raczej komicznym niż tragicznym żywiołem. Zresztą historyę o człowieku, który pod koniec życia poznaje, iż nie umiał właściwie żyć na świecie i w śmierci widzi zbawicielkę, trudno nazwać czemś nowem. Wi-

dzieliśmy już takie rzeczy po wielekroć, a trzeba przyznać nieco lepiej i poetyczniej obrobione. Kilka ładnych myśli i dobry wiersz to jeszcze zamało na usprawiedliwienie takiego aparatu efektów i efekcików, jakim operuje autor „Głupca i śmierci“.

Jakby dla wynagrodzenia berlińczykom niemiłych dywersyi w spokojnem trawieniu kolacyi, spowodowanych widokiem kościotrupa-dławidudy, sypnął Jakób Wassermann na ponuro nastrojoną widownię całą warząchew grubych lecz dobrych konceptów, nie bez głębszego, nawet satyrycznego podkładu. Jego „komedya kłamstw“ (Lügenkomödie), traktowana wprawdzie nieco karykaturalnie i płytko, lecz zawierająca sporą ilość dobrych „witzów“ i komicznych sytuacyi, nosi tytuł „Hockenjos“.

Chodzi w niej o to, że pewien burmistrz małego niemieckiego miasteczka, pan z gruntownie zaszpuntowanym łbem, pała chęcią uzyskania orderu. Lecz jak? oto pytanie. Od czegóż jednak głupkowata przemyślność pana burmistrza i mądre rady, jakimi go darzy jego przyjaciel? W jednej chwili wędka, na której ma zadyndać krzyżyk z wstążeczką — jest już gotowa. Idzie poprostu o sfabrykowanie naprędce jakiegoś (zmarłego już, rzecz naturalna), geniusza i wsadzenie go do małomiasteczkowego panteonu. W chwili gdy „chluba miasta“ wjedzie z hałasem na wyżyny, kędy królują „wielcy i zasłużeni“ — spełnią się orderowe marzenia pana burmistrza. A tu wszystko wiedzie się jak w bajce, gdyż akurat doniosły dzienniki o tem, iż malarz Hockenjos, biorący, Bóg wie skąd i poco, udział w jakiejś ekspedycyi polarnej, zginął pośród lodowców. Tego było potrzeba burmistrzowi.

Zasławszy kilka strzelistych westchnień do bogiń blagi i humbugu, zaczyna chlubne dzieło wydymania zmarłego pacykarza, który słynął z pijaństwa i lamparteryi, na jedną z chwał społeczeństwa wogóle, miasteczka zaś w szczególności. Usiłowania jego wieńczy skutek o jakim nie marzył nawet, gdyż obywatele, napompowywani przez usłużną klikę wielkością i chwałą zgasłego artysty, postanawiają wystawić świeżo upieczonemu geniuszowi wspaniały pomnik.

Ale, o pechu burmistrzowski! W dniu, kiedy wyfraczona trzoda abderyckich baranów zamierza położyć kamień węgielny pod monument „swojej“ znakomitości, wynurza się ów bliski uczczenia „geniusz“ na powierzchnię małomiasteczkowego życia, grożąc burmistrzowi utratą orderu a całej ojczyźnie, od jednej do drugiej rogatki — niesłychanym blamażem.

Spryt burmistrza ratuje jednak tym razem sytuacyę. Temu dzielnemu mężowi nie rozchodzi się o kilkaset marek, jeżeli tą ofiarą okupi spokój i — order. Artysta, zmartwychwstały w tak fatalny i niewygodny dla swojej własnej i burmistrzowskiej korzyści sposób, zgadza się na to, aby za pewną sumkę opuścić raz na zawsze rodzinne miasto i żyć gdzieś pośród obcych. W ten sposób miasto będzie miało swego „wielkiego zmarłego“, „wielki zmarły“ swój pomnik a pan burmistrz swój order. I sztuka kończy się w ten sposób, że Hockenjos każąc sobie ogolić dla niepoznania brodę, słyszy w czasie operacyi balwierskiej rozgłośne wiwaty, uroczyste mowy i kantatę, którymi mieszczuchy pod wodzą burmistrza czczą „swego wielkiego, niezapomnianego“....

Jak widać pomysł dobry, choć naiwność jego dość dziwnie wyglądała w ramach „secesyjnej“ sceny. Ale Wassermann nie zadał sobie ani odrobinki pracy celem obrobienia tej anegdoty w jakiś artystyczny sposób. Ot, opowiada się ze sceny taksamo, jak przy szklance „Weisbier“ lub „Eberlbräu“, w gronie dobrych przyjaciół.... Może i ta prostota była właśnie jedną z pobudek do śmiechu, który wstrząsał ścianami secesyjnego teatru. Po rafinowanych kościotrupach i paletycznych duchach pierwszej sztuki, „Hockenjos“ działał na widzów prawem kontrastu, a wesołość świadczyła o sukcesie. A czegóż więcej może pragnąć autor dramatyczny, choćby nawet wystawiał swoje sztuki w „secesyjnym“ teatrze, który zdaniem ogółu istnieje po to, by wszystko szło w nim na opak? Z.

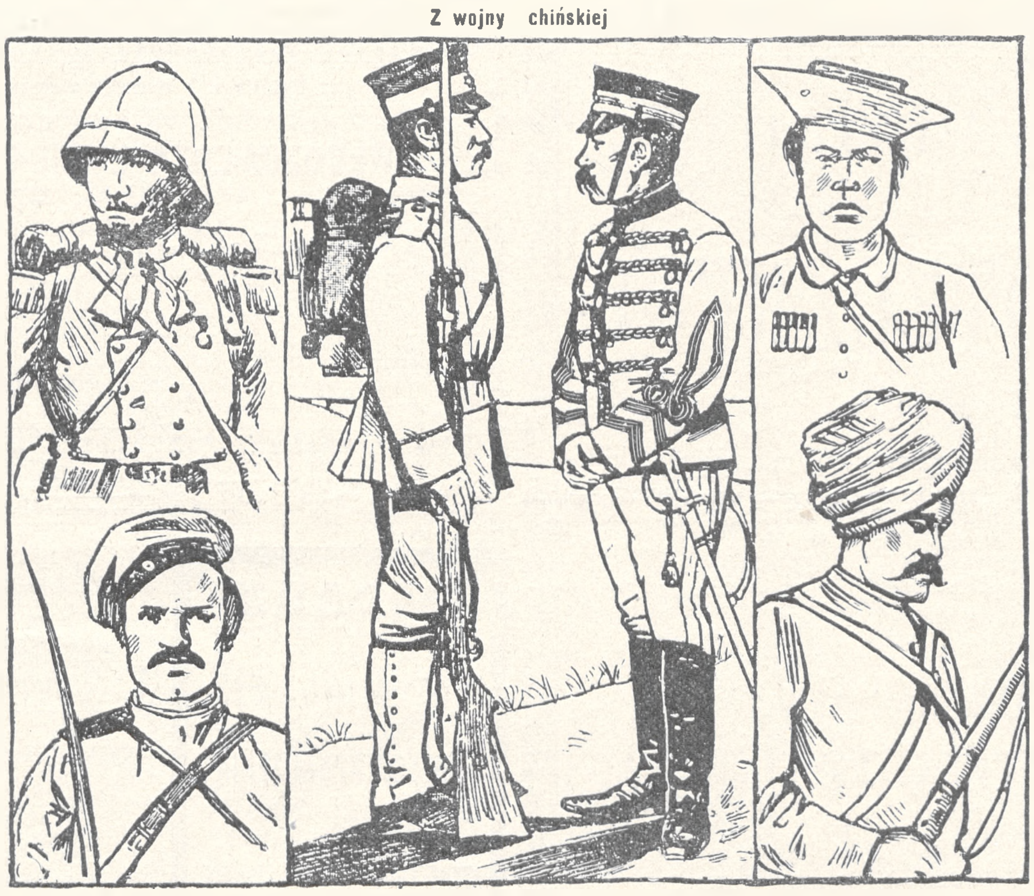
Nasze ryciny.

Proces w Pisku, przybierający w coraz gorszy obrót dla Hilsnera, obfituje w sensacyjne sceny, które sprawiają na licznem audytoryum głębokie wrażenie. Do ich rzędu należy przedewszystkiem konfrontacya Peszaka z Hilsnerem. Żydowski morderca usiłował wmówić w świadka iż nie mógł go widzieć w lasku brzezinowym, gdyż odległość miała być rzekomo za wielką na to, aby można było rozpoznać z niej człowieka. Próby dokonywane z Peszakiem przez rzeczoznawców wykazały wszakże, iż to, czemu Hilsner zaprzecza, jest wobec niezwykłej siły wzroku Peszaka nietylko możliwem, lecz i zupełnie prawdopodobnem. Hilsner odparł te twierdzenie swoim zwykłym argumentem, tj. zaprzeczył wszystkiemu, nawet temu, jakoby wogóle znał Peszaka, chociaż przez jakiś czas mieszkał nawet u niego.

Strój w którym wyobrażony jest Hilsner na drugiej rycinie, pochodzi jeszcze z czasu kiedy oczekiwał w więzieniu na toczącą się właśnie rozprawę. Obecnie dr. Aurzedniczek kazał mu się wystroić w niebieskie ubranie i elegancki jedwabny krawat, nie chcąc by morderca samem zewnętrznem wystąpieniem sprawiał na sędziach przysięgłych wrażenie opryszka. Niestety żadne, choćby najbardziej eleganckie ubranie nie zdoła zmienić dzikiego wyrazu twarzy Hilsnera, który obok kolosalnego żydowskiego nosa i odstających uszu, najbardziej rzuca się w oczy każdemu obserwatorowi.

Chwila, w której nieszczęśliwa matka Agnieszki Hruzówny pojawiła się przed trybunałem, aby składać zeznania, była jedną z najbardziej wzruszających w obecnym procesie. Według opowiadań naocznych świadków, przysięga na prawdziwość zeznań, składana drżącym głosem przez 59-letnią, tak strasznym ciosem dotkniętą staruszkę, poruszyła do łez

Z wojny chińskiej



Typy żołnierzy armii mocarstwowej.

wrażliwszych uczestników piseckiej rozprawy. Jedna z dzisiejszych rycin przedstawia właśnie Hruzową w chwili składania przysięgi. Prócz tego w obecnym numerze znalazły pomieszczenie wizerunki trzech sędziów, wchodzących w skład trybunału. Nazwiska ich brzmią: Karol Danzer (radca), Jan Šonka (sekretarz) i Hynek Smutný (również radca sądowy).

Chińska symfonia, wygrywana na grzbietach hord czerwonego kułaka, stanowi jeszcze ciągle program „koncertu mocarstw europejskich. Na dwóch rycinach znajdą dziś czytelnicy przyczynek do tej cywilizacyjnej muzyki; pierwsza przedstawia wyższych oficerów armij europejskich na naradzie wojennej, drugą zajmują typy żołnierzy, mających pod batutą „żandarma Europy“ hr. Waldersee garbować skórę chińską.

Królowa Wilhelmina holenderska, której podobiznę znajdą czytelnicy między dziś zamieszczonymi rycinami, jest obok królowej włoskiej Heleny, bezsprzecznie najpiękniejszą z władczyń europejskich. Prócz niezwykle pięknych rysów twarzy posiada jeszcze urok młodości i dużo naturalnego wdzięku, które to właściwości dopomogły niechybnie bogactwom Holandyi do podbicia serca księcia Henryka Meklenburg-Schwerin, narzeczonego pięknej Wilhelminy.

Balon hr. Zeppelina opisany przez nas w jednym z poprzednich numerów Głosu Literackiego jest jeszcze w dalszym ciągu przedmiotem ożywionej dyskusyi w prasie całego świata. Dalsze eksperymenta musiały wszakże zostać odłożone na czas nieograniczony, gdyż podczas ostatniej wycieczki po przestworzach atmosferycznych, doznał silnych uszkodzeń. Obok wizerunku hr. Zeppelina podajemy dzisiaj fotografię balonu w chwili gdy unosi się nad jeziorem bodeńskiem.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* w Paryżu zaczął wychodzić nowy dwutygodnik „Goniec Polski“. W ten sposób posiadamy obecnie we Francyi dwa czasopisma polskie: „Wolne Słowo“ i „Goniec Polski“, oraz trzeci „Bulletin Polonais“, które chociaż wydawane jest w języku francuskim, jednak poświęcone jest wyłącznie sprawom polskim.

* Z powodu obchodzonego w r. 1897 jubileuszu Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej), Adam Pług wydał obszerny życiorys tej znakomitej poetki, p. t. „Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) Pamiętniki jubileuszowe“. Z pewnego rodzaju pietyzmem autor opowiedział koleje życiowe, nie zawsze różami usłane, poetki, stopniowy rozwój jej talentu, wykaz prac, wreszcie historyę szczegółową jej jubileuszu. Jest to bardzo ciekawy przyczynek, że już pominiemy sam życiorys poetki, do prądów i wyobrażeń społecznych i literackich u nas, w chwili gdy talent improwizatorski i poetyczny Deotymy zajaśniał w całym swoim blasku. Książka wydana jest z niezwykłą w Warszawie szykownością. Trzy portrety Deotymy w różnych epokach jej życia, podobizny jej rodziców, oraz domu, w którym poetka mieszka od kilkunastu lat, przyozdabiają tę interesującą pracę.

* Nakładem księgarni A. G. Dubowskiego wyszły z druku „Poezye“ Mieczysława Glińskiego.

* Dr. Zbigniew Pazdro, „Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od 1 połowy XVI. wieku do połowy w. XVII“. Długo u nas nauka prawa polskiego leżała odłogiem; zjawiali się od czasu do czasu uczeni, poświęcający się jego studyowaniu, był Czacki, było wielu innych, ale o jakiejś systematycznej pracy na tem polu, o skonstruowaniu pewnej całości mowy nie było. O czemś podobnem można było dopiero z tą chwilą pomyśleć, kiedy uczony mógł rozporządzać całym szeregiem różnorodnych źródeł. To też w ostatnich czasach zaczęto wydawać źródła, potrzebne do poznania prawno-historycznego ustroju Polski, a niedawno zaczęły wychodzić pod redakcyą wielce już zasłużonego na polu prawa polskiego, profesora lwowskiego uniwersytetu Dr. Oswalda Balzera „Studya nad historyą prawa polskiego“, których zeszyt czwarty (tom I.), zawierający pracę p. Zbigniewa Pazdry p. t. „Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od drugiej połowy XVI. w. do połowy wieku XVII.“, właśnie mamy pod ręką. Sam autor nazywa swoje studyum „pracą przygotowawczą“, tą też miarą chcemy sądzić rozprawkę p. Pazdry. Autor, jak to sam przyznaje, mógł czerpać tylko z tych źródeł, które dotąd wydał prof. Piekosiński w „Kodeksie dyplomatycznym miasta Krakowa“ w cz. II. III. i IV., tudzież w „Prawach, przywilejach i statutach miasta Krakowa“, kiedy np. akta cechowe, stanowiące obfite źródło do poznania historyi organizacyi czeladnej w Polsce, jako niewydane, były dla autora niedostępne. Z tych jednak źródeł, które p. Pazdro miał pod ręką, musimy przyznać, skorzystał sumiennie i umiejętnie. Cały materyał podzielony jest na cztery części, z których pierwsza traktuje o uczniach, druga o robieńcach, trzecia o towarzyszach, czwarta o stowarzyszeniach czeladnych. Stosownie do tego podziału p. Pazdro zebrał porozrzucane tu i ówdzie poszczególne przepisy i na ich podstawie skreślił całość, w czem wielką dlań pomocą była ta okoliczność, że (jak widać z kilku miejsc), zna on nie tylko źródła, tyczące się cechów krakowskich, ale także i cechów miast innych. Życie w warstacie i po za nim, życie religijne, stosunek towarzyszy i uczniów względem siebie, tudzież jednych i drugich względem majstrów, zadania społeczne cechów — występują w rozprawie p. Pazdry wypukle i jasno. Nie tu miejsce zbyt szeroko rozwodzić się nad pracą p. Pazdry, która zresztą na to zupełnie zasługuje, ale przedewszystkiem należy podnieść tę okoliczność, że autor za przedmiot swych studyów obrał właśnie cechy. Wszak cechy — to jedna z najciekawszych instytucyj średnich wieków; one wprowadzały w całej pewnej sferze stosunków ówczesnego życia pewien ład i kierunek, obejmowały w tej sferze kwestyę bytu, życie moralne, etyczne, socyalne, ba, często nawet życie intelektualne. One to potem przeżyte, upadły w walce z nowymi systemami gospodarstwa społecznego, odpowiadającymi lepiej nowym potrzebom i nowym warunkom, wśród jakich życie miało się rozwijać, a przecież mimo to, gdzieniegdzie dochowały się jeszcze choć w części, do naszych czasów. Sumienne opracowanie organizacyi cechowej w Krakowie jest wielkiem ułatwieniem w dalszej pracy, gdyż stosunki cechowe w różnych miastach mogły się odstawać od siebie chyba tylko w pewnych poszczególnych punktach i przepisach. Naturalnie, jak w każdej innej, tak i w powyższej rozprawce są pewne usterki, jest to praca rzetelna i sumienna. Spodziewamy się, że również inni uczeni, uzdolnieni na tem polu, poprą piękną myśl wydawców „Studyów nad historyą prawa polskiego“, że za studyum p. Pazdry zjawią się niebawem inne „prace przygotowawcze“ z zakresu prawa polskiego, z których przyszłość będzie mogła stworzyć piękną całość, odtwarzającą w całej pełni życie naszych ojców, nie owo, pełne chwały i szczęku oręża, ale życie szare, ciche, codzienne, z pewnością nie mniej zacne, a jednako nam miłe i pożyteczne.

K. W. Kumaniecki.

TEATR I MUZYKA.

* Opera warszawska gotuje się do prawdziwego święta, którem będzie niezawodnie dla całej muzykalnej Warszawy 500-tne przedstawienie „Halki“. Reżyser opery p. Józef Chodakowski przygotowuje nową inscenizacyę, jakoteż kostyumy, a po części nawet i dekoracye, aby zewnętrzna strona widowiska odpowiedziała choć w części wartości dzieła. W dniu jubileuszowym będzie „Halka“ dwa razy odśpiewaną, popołudniu i wieczorem, w dwóch różnych obsadach ról głównych. Popołudniową stanowią: Halka — p. Korolewicz, Jontek — p. Sienkiewicz, Janusz — p. Górski. Na wieczorne przedstawienie zachował p. Chodakowski elitę śpiewaków polskich, którzy szczęśliwym zbiegiem okoliczności są właśnie czynni przy operze warszawskiej. Halkę odtworzy znakomita artystka p. Salomea Kruszelnicka, Jontka p. Władysław Floryański, Janusza p. Wiktor Grąbczewski. Będzie to wspaniała uroczystość, tem wspanialsza, że dochód z jubileuszowych przedstawień zostanie oddany rodzinie Moniuszki, który otrzymał za „Halkę“ wszystkiego razem 1000 rubli, podczas gdy ta opera przyniosła teatrowi warszawskiemu krocie.

* Adela Sandrock występowała z wielkiem powodzeniem w Karltheatrze wiedeńskim jako „Dama Kameliowa“. Wiedeńska krytyka nie stawia jej niżej od Sary Bernardt i od Duse.

NADESŁANE.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**